

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY CZWARTY

SAM

Ledwie zdążyliśmy wjechać na podjazd, gdy znowu zadzwoniła moja komórka. Koenig nawet nie zawracał sobie głowy parkowaniem. Zahamował, zerknął na zegarek, a potem w lusterko wsteczne.

- Wejdzie pan do środka? – zaprosiła go Grace, zaglądając do wnętrza samochodu.

Nie pomyślałem o tym, że mógłby chcieć wejść.

- Nie, dzięki – odpowiedział funkcjonariusz. – Cokolwiek się tam dzieje... Po prostu wolałbym o niczym oficjalnie nie wiedzieć. I jakby ktoś pytał, nie widzieliśmy się dzisiaj. Porozmawiasz później z rodzicami, prawda?

Grace pokiwała głową.

- Tak. Dzięki. Za wszystko.
- Tak, dziękujemy – potwierdziłem, choć takie wyrażenie wdzięczności nie wydawało mi się wystarczające.

Telefon wciąż dzwonił. Cole. Chciałem coś dodać, ale... Beck. W domu był Beck.

- Zadzwońcie do mnie później, kiedy podejmiecie ostateczną decyzję – poprosił policjant. – Sam... odbierz wreszcie ten telefon.

Grace zatrzasnęła drzwi auta i na pożegnanie dwa razy klepnęła w bok furgonetki.

- Już jestem – powiedziałem do telefonu.
- Zajęło ci to mnóstwo czasu – skwitował Cole. – Szedłeś na piechotę?
- Co? – zapytałem. Jaskrawe popołudniowe słońce przeświecało przez szczyty sosen. Musiałem zamrugać i odwrócić wzrok. Odniosłem wrażenie, że źle go zrozumiałem. – Jestem na podjeździe.

Cole milczał przez chwilę, po czym rzucił:

- I dobrze. Pośpiesz się, do cholery! Jeśli cię ugryzie, to będzie twoja wina!
- Czy ja chcę wiedzieć, co się tam dzieje? – zapytałem Cole'a.
- Możliwe, że źle wymierzyłem dawkę środków uspokajających. Okazuje się, że nie wszystko, co znajdziesz w Internecie, jest prawdą. Najwyraźniej wilki potrzebują więcej leku niż neurotyczne owczarki niemieckie.
- Jezu... - skomentowałem. – Więc Beck biega samopas po domu?

Głos Cole'a zabrzmiał odrobinę oschle:

- Chciałbym podkreślić, że już odwałem za ciebie najtrudniejszą część zadania. Wydostałem go z lasu. Więc ty możesz go wydostać ze swojej sypialni.

Nie rozłączając się, popędziliśmy do drzwi frontowych. W popołudniowym świetle okna zamieniły się w lustro pełne słońca. Kiedyś byłaby to pora obiadowa. Wszedłbym do domu pachnącego odgrzewanymi w mikrofalówce resztkami jedzenia, myśląc o czekającej na pracy domowej z algebry, przy dźwiękach zespołu „Iron Butterfly” ryczącego z głośników. Zobaczyłbym Urlika udającego, że gra na perkusji. Beck stwierdziłby: „Ktoś kiedyś powiedział, że Europejczycy mają świetny gust. Kimkolwiek był ten koleś, naprawdę się pomylił”. Dom wydałby mi się po brzegi wypełniony ludźmi, więc uciekłbym do swojego pokoju w poszukiwaniu ciszy.

Teraz tęskniłem za tego rodzaju chaosem.

Beck. Beck był tutaj.

Cole syknął na mnie wściekły:

- Jesteś już w środku?! Boże błogosław Amerykę i wszystkich jej synów. Cemu trwało to tak długo?

Drzwi frontowe były zamknięte.

- Masz, pogadaj z Grace – uciąłem.
- Mamusia nie udzieli mi lepszej odpowiedzi niż tatuś – rzucił Cole.

Podąłem jej telefon.

- Porozmawiaj z nim. Ja muszę wyciągnąć klucze. – Pogrzebałem w kieszeni, a potem otworzyłem drzwi.
- Cześć. Wchodzimy – mruknęła i rozłączyła się.

Zamrugąłem, próbując przyzwyczaić oczy do panującego w domu półmroku. Czerwień zachodzącego słońca zalewała blaskiem meble w salonie. Nigdzie nie było śladu ani Cola'a, ani wilka. Becka nie było na gorze, mimo ironicznej uwagi Cole'a na temat wyciągnięcia zwierzaka z mojej sypialni.

Telefon znowu zadzwonił.

- Jeezu – jęknęła Grace i podała mi komórkę.

Przyłożyłem ją do ucha.

- Piwnica – poinstruował chłopak. – Podążajcie za zapachem przypalonego mięsa.
- Okej – odparłem.

Drzwi do piwnicy były otwarte, a ze środka bił żar. Już na schodach było czuć wilkiem: był to zapach niepokoju, wilgotnego leśnego runa i kietkujących wiosennych roślin. Gdy zszedłem na dół, do wypełnionego przyćmionym światłem pomieszczenia, żołądek skręcił mi się z nerwów. Cole stał przy schodach z ramionami skrzyżowanymi na piersi i kolejno wyłamywał sobie palce u rąk. W głębi zobaczyłem grzejniki, źródło duszącego upału.

- No, wreszcie – westchnął. – Piętnaście minut temu był znacznie bardziej przymulony. Cemu tak długo was nie było? Pojechaliście do Kanady, czy co? Musieliście wynaleźć silnik spalinowy przed powrotem?
- To była kilkugodzinna jazda – wyjaśniłem.

Spojrzałem na wilka. Leżał w poskręcanej pozycji, której nie przyjęłoby żadne w pełni przytomne zwierzę. Częściowo na boku, a częściowo na piersi. Kołysał głową, oczy miał na wpół przymknięte, uszy oklapłe.

Mój puls był płytki i szybki, niczym trzepot skrzydeł ćmy spalającej się w świetle żarówki.

- Mogliście jechać szybciej – zasugerował Cole. – Gliniarzom przecież nie wlepiają mandatów.
- Po co te grzejniki? – zapytałem. – Przecież to nie skłoni go do przemiany.
- Nie, ale może dzięki temu utrzyma się dłużej w ludzkiej formie – wyjaśnił Cole. – O ile wcześniej nie zostaniemy wszyscy zmasakrowani, a istnieje taka możliwość, jeśli będziemy dłużej zwlekać.
- Ciii – uciszyła nas Grace. – Robimy to czy nie, Sam?

Spojrzała na mnie, nie na Cole'a. To do mnie należała decyzja.

Kucnąłem przy niej, obok wilka. Gdy wyczuł moja obecność, stawy mu drgnęły i nagle zaczął reagować. Nadstawił uszu i przewrócił oczami, żeby na mnie spojrzeć.

Oczy Becka. Beck. Beck... Poczułem ból w sercu. Czekałem, aż mnie rozpozna, ale tak się nie stało. Tylko na mnie patrzył, a potem zaczął przebierać łapami, próbując zapanować nad otumanionym przez leki ciałem.

Nagle pomyśl, żeby wstrzyknąć mu mieszankę epinefryny i Bóg jeden wie czego jeszcze, wydał mi się absurdalny. Ten wilk tkwił w swojej formie tak pewnie, że nigdy nie dałoby się wyciągnąć z niego Becka. Z

ludzkiego wcielenia zostały tylko oczy, za którymi nikt się już nie ukrywał. W mojej głowie pojawiły się słowa. Chciałem uciec myślami od tej chwili, a one mogły mi w tym pomóc:

*Pustym domom nie potrzeba okien,
przecież nikt nie zagląda do środka.
Po cóż miałyby mieć jakieś okna,
skoro nikt przez nie nie wygląda.*

A jednak myśl, że mógłbym znowu go zobaczyć, tylko zobaczyć, w ludzkiej formie, była tak bardzo kusząca... Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo tego pragnąłem. Jak bardzo tego potrzebowałem.

Cole kucnął obok nas ze strzykawką w dłoni.

– Sam? – mruknął, ale tak naprawdę patrzył na Grace. A ona zerknęła na mnie.

Pomyślałem o tej chwili, kiedy oczy wilka napotkały mój wzrok. Jego spojrzenie pozbawione było jakiegokolwiek świadomości. Nie mieliśmy pojęcia, co próbujemy zrobić. Nie wiedzieliśmy, jaki efekt wywołają u niego narkotyki. Cole już raz źle ustalił dawkę benadrylu. A co, jeśli zawartość jego strzykawki zabije Becka? Czy będę mógł żyć z tą świadomością? Wiedziałem, jakiego wyboru dokonałbym – a właściwie dokonałem – w tej samej sytuacji. Mając do wyboru śmierć albo szansę na stanie się człowiekiem, podjąłem ryzyko. Ale ja miałem ten wybór. Mogłem powiedzieć „tak” lub „nie”.

– Czekaj! – zawołałem.

Wilk zaczął stawać na nogi. Powoli podwinął górną wargę, odsłaniając kły w ostrzeżeniu.

I wtedy przypomniałem sobie coś innego. Ja wepchnięty w śnieżną zaspę, moje życie zamienione na życie wilka, trzask samochodowych drzwi, Beck planujący moje ugryzienie, odbierający mi wszystko. Nigdy nie miałem wyboru. Tamtego dnia, który mógł być po prostu kolejnym zwyczajnym dniem mojego życia, zostałem postawiony przed faktem. Beck podjął tę decyzję za mnie. Gdybym tym razem podjął decyzję za niego, to byłoby fair. Tamtego dnia nie było „tak” ani „nie”. Teraz też nie było na to miejsca.

Chciałem, żeby się udało. Chciałem, żeby wrócił do swojego ciała, żeby mógł zażądać odpowiedzi na te wszystkie pytania, których mu nigdy nie zadałem. Chciałem zmusić go do przybrania ludzkiej postaci, żeby mógł po raz ostatni zobaczyć moja twarz i wyjaśnić mi, dlaczego to zrobił. Dlaczego ze wszystkich ludzi na tej planecie wybrał właśnie mnie? Dlaczego mnie? Dlaczego w ogóle kogoś? Dlaczego?! A jednocześnie paradoksalnie chciałem go znowu zobaczyć, żeby mu powiedzieć, jak bardzo za nim tęsknię.

Chciałem tego.

Ale nie wiedziałem, czy on by tego chciał.

Spojrzałem na Cole'a:

– Nie. Nie, zmieniłem zdanie. Nie mogę tego zrobić. Nie jestem taka osobą.

Jego intensywne zielone oczy napotkały mój wzrok.

– Ale ja jestem – rzucił.

I szybko niczym wąż wbił igłę w udo wilka.

COLE

– Cole... - wybuchła Grace. – Jak mogłeś?! Nie mogę uwierzyć...

W tym momencie wilk drgnął i zatoczył się do tyłu. Dziewczyna zamilkła. Zwierzę miało się w konwulsjach. Szarpmy szarpały jego ciałem w rytm gwałtownie wzrastającego tętna. Nie dało się stwierdzić, czy jesteśmy świadkami jego śmierci czy odrodzenia. Kolejny dreszcz przetoczył się wzdłuż pleców

zwierzęcia, które poderwało łeb do góry w gwałtownym i nienaturalnym ruchu. Spomiędzy jego zaciśniętych zębów wydostał się przeciągły, narastający skowyt.

To działało.

Pysk wilka rozwarł się w milczącej agonii.

Sam odwrócił głowę.

To działało.

W tej samej chwili pragnąłem tylko jednego – żeby mój ojciec stał obok i patrzył na to. Żeby mógł mu powiedzieć: „Patrz. Za każdy twój test, którego nie potrafiłem rozwiązać. Patrz. Dokonałem niemożliwego”.

Ciałem wilka wstrząsnął kolejny spazm. Nagle Beck wydostał się ze swojej zwierzęcej skóry i w ludzkim ciele padł na wytarty dywan koło schodów. Leżał na boku, orząc palcami podłogę. Twarde jak postronki mięśnie napinały mu się na wystających kościach. Bezbarwne blizny znaczyły jego plecy, jakby zamiast skóry miał skorupę. Zafascynowało mnie to. to nie był człowiek, lecz rzeźba zwierzęcia w kształcie człowieka, wytrzymałego i stworzonego do polowania.

Sam stał z rękoma zwieszonymi po bokach ciała. Grace miażdżyła mnie rozwścieczonym spojrzeniem.

Ale ja patrzyłem tylko na Becka.

Na Becka.

Wyciągnąłem go z tego wilka.

Przesunąłem palcami po ścianie, aż znalazłem przełącznik przy schodach. Gdy żółte światło zaalało piwnicę, padając na regały z książkami ciągnące się wzdłuż ścian, Beck drgnął i zastonił oczy ramieniem. Jego skóra wciąż jeszcze trzęsa się i falowała, jakby nie była pewna, czy chce pozostać w obecnej formie. Przy tych wszystkich szumiących w piwnicy grzejnikach można się było udusić. Żar napierał tak mocno na moja własną skórę, że nie mogłem sobie teraz wyobrazić bycia kimkolwiek innym. Jeśli to piekło nie utrzyma Becka w ludzkiej postaci, to już nic nie zdoła.

Sam w milczeniu wspiął się po schodach, żeby zamknąć drzwi od piwnicy i wyeliminować przeciągi.

- Naprawdę masz szczęście, że to się nie skończyło źle – szepnęła Grace tak, żebym tylko ja to usłyszał.

Uniosłem brew, patrząc na nią, a potem przeniosłem wzrok z powrotem na Becka.

- Hej – zwróciłem się do niego – jak już się otrząsniesz, mam dla ciebie ubranie. Podziękujesz mi później.

Beck jęknął cicho, wydychając powietrze i zmieniając pozycję. Był to jęk, jaki ludzie wydają czasem bezwiednie, gdy coś naprawdę ich boli. Mężczyzna usiadł na ziemi w sposób, który wydawał się bardziej wilczy niż ludzki, i w końcu popatrzył na mnie.

Minęło wiele miesięcy od czasu, kiedy leżałem uwięziony w ciele, które sam doprowadziłem do ruiny.

„Jest jeszcze inna droga wyjścia z tego wszystkiego – powiedział wtedy Beck. – Mogę cię wydostać z tego świata. Mogę sprawić, że znikniesz. Mogę cię naprawić”.

Miałem wrażenie, jakby minęło wiele lat od momentu, kiedy wstrzyknął mi wilczą toksynę. A teraz był tutaj. Cholernie dobry przykład na obecność karmy w przyrodzie: facet, który zmienił mnie w wilkołaka, był wilkiem, którego ja zmieniłem w człowieka.

Jednak po jego oczach wyraźnie było widać, że ludzkie myśli jeszcze mu nie wróciły. Skulił się w dziwnej, zwierzęcej pozycji – coś pomiędzy siadem a klękami i obserwował mnie nieufnie. Ręce mu się trzęsły.

- Daj znać, kiedy mnie rozpoznasz – poprosiłem go.

Sięgnąłem po spodnie i bluzę od dresu, które wcześniej zostawiłem na fotelu, zwinąłem je w kulkę i rzuciłem w kierunku Becka. Wylądowały na ziemi przed nim, ale nie zwrócił na nie uwagi. Zerknął najpierw

na mnie, potem na półki za mną, a w końcu na sufit. Widziałem, jak zmienia się wyraz jego oczu, jak powoli pojawia się w nich świadomość. Jak wreszcie zaczyna rozumieć, że jest Beckiem-mężczyzną, a nie Beckiem-wilkami.

W końcu z drzeniem naciągnął spodnie od dresu i odwrócił się do mnie. Bluzę zostawił na podłodze.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał cicho.

Uciekł wzrokiem, jakby nie spodziewał się, że znam odpowiedź; obserwował szeroko rozcapierzone palce własnych rąk. Przyjrzał im się uważnie z obu stron, najpierw grzbietom, potem wnętrzom dłoni. To był tak intymny gest, że aż zerknąłem w inną stronę. Z jakiegoś powodu przypomniał mi się pogrzeb Victora.

- Cole... - wydusił ochryplym głosem, po czym odchrząknął i spróbował znowu: - Jak to zrobiłeś?
- Adrenalina. – To była najprostsza odpowiedź. – I paru jej kumpli.
- Skąd wiedziałeś, że to zadziała? – zapytał, ale potem, zanim zdążyłem się odezwać, sam sobie odpowiedział: - Nie wiedziałeś. To był eksperyment.

Milczałem.

– Czy wiedziałeś, że ja to ja?

Nie było sensu kłamać.

Pokiwałem głową.

Beck podniósł wzrok.

- To dobrze, że wiedziałeś. Są w tym lesie wilki, które na zawsze powinny pozostać wilkami. – Nagle uświadomił sobie, że naprzeciwko mnie stoi Grace. – Grace – zaczął. – Sam... czy to podziało? Czy on...
- Tak, udało się – szepnęła dziewczyna cicho, ciasno krzyżując ramiona na piersi. – Jest człowiekiem. Nie przemienił się od tamtego czasu.

Beck przymknął oczy i odchylił głowę. Opuścił ramiona. Zobaczyłem, jak przetyka ślinę. To była ulga w najczystszej postaci i ciężko było na to patrzeć.

– Czy jest tutaj?

Grace spojrzała na mnie.

Usłyszałem głos Sama dochodzący ze schodów.

Jeszcze nigdy nie brzmiał w ten sposób.

– Jestem tu.

SAM

Beck.

Nie mogłem zebrać myśli. Spadły po schodach i rozsypały się po podłodze.

On jest dłonią na moim ramieniu

opony samochodu syczące na wilgotnym chodniku

jego głos to narracja mojego dzieciństwa

zapach lasu docierający do podmiejskiej uliczki, gdzie mieszkałem

przejąłem jego charakter pisma

wilki

woła przez pół domu: „Sam, odrób pracę domową!”

napierający na mnie śnieg

„Poczekaj – powiedział. – Nie bój się. Wciąż jesteś Samem”.

rozdzierana skóra

moje nowe biurko pomieści wszystkie moje książki

Ja

moje spocone dłonie na kierownicy jego auta

nigdy

niekończące się wieczory przy grillu, wszystkie takie same

tego

„Jesteś najlepszym z nas, Sam”.

nie chciałem